

Andrzej Horubała: Dlaczego Stanisław Lem nie został wielkim pisarzem

„Był bez wątpienia jednym z najinteligentniejszych pisarzy pokolenia, jednak jakaś skaza, może uraz, uniemożliwiły mu stworzenie wielkiej literatury” – pisze Andrzej Horubała o Stanisławie Lemie. Teksty Andrzeja Horubały publikowane w nowej serii „Wielcy pisarze PRL-u”, są elementem projektu realizowanego dzięki stypendium Fundacji Trzy Trąby oraz Jolanty i Mirosława Gruszków, pomysłodawców stypendium i darczyńców Fundacji Świętego Mikołaja.

LEM. STANISŁAW LEM

Kluczowym pytaniem jest: **dlaczego nie został wielkim pisarzem.**

Dlaczego mimo olśniewającej inteligencji, niezwyklej erudycji, warsztatowej sprawności, zadziwiającej umiejętności poruszania się w wielu gatunkach, niesamowitych pytań, jakie stawiał, nie osiągnął spełnienia, nie stworzył wstrząsających arcydzieł na miarę swego talentu i umysłowości, tak jakby zatrzymał się u progu wielkiej sztuki i nie wszedł nigdy na dobre do świata prawdziwej literatury.

O tę ocierał się przecież parokrotnie i to poczynając już od ukończonej w roku 1948 powieści „Szpital Przemienienia”, w której stawiał pytania fundamentalne. I to stawiał w sposób brawurowy, zapowiadający potężne dzieło. Mierzył wysoko.

Był bez wątpienia jednym z najinteligentniejszych pisarzy pokolenia, jednak jakaś skaza, może uraz, uniemożliwiły mu stworzenie wielkiej literatury. I gdybyż chodziło tylko o kompleks na punkcie seksu czy

miłości, jakąś dziwną wstydlivość i niechęć do wątków erotycznych.

Dał się Lem podpuścić Stanisławowi Beresiowi i w wywiadzie-rzecz „Tako rzecz Lem” zaprezentował w pełni swą idiosynkrazję wobec seksu. Próbie bagatelizowania czy tabuizowania tej problematyki towarzyszył sztubacki chichot, że narządy rodne blisko tych związanych z czynnościami wydalniczymi, chichot, który nie mając wiele wspólnego z rubaszną afirmacją istnienia, ujawniał raczej jakieś sprawy lękowe. (TRL, s. 123 – 127 – *pełne opisy źródeł podane są pod tekstem – Redakcja*)

Ale rzecz nie ograniczała się do seksu. Jak gdyby Lem, wstydząc się uczuć i nie chcąc babrać się w ludzkich nieuporządkowanych afektach, porażony swoistą mizantropią, odmawiał zajmowania się pełną naturą ludzką. Człowiek w większości utworów Lema to istota bardzo mocno zredukowana. Wystudzona, pozbawiona namiętności, niepełna.

Jan Błoński, jego krakowski sąsiad i bliski znajomy pisał do Mrożka o Lemie: „Cóż za dziwny umysł: w trzech dziedzinach: naukowej, literackiej, filozoficznej, zupełnie równo uzdolniony. Gdyby zsumować, byłoby genialne. Ale właśnie taki to rozum, że sumować się nie daje. W końcu umysł niesłychanie dyspozycyjny – «wszystko potrafi zrobić», zimitować, wedle reguł zbudować; złota rączka intelektu. Ale jak wiadomo, potrzeba także tej wyższej niezręczności, która świat obciosuje na nowo”. (list z 30 maja 1967, LML, s. 432 – 433)

Nobilitował go za to uczeń Błońskiego, Jerzy Jarzębski, wykonując benedyktyńską pracę omawiania poszczególnych utworów Lema, ale przecież te jego posłowania i analizy tylko mogły utwierdzić czytelnika, że choć intelektualnie są to dzieła porywające i pobudzające mózg, to serce pozostawiają raczej chłodnym.

Bo co z tego, że łamigłówki i układanki prezentowane przez Lema dały się odnieść do wielkich pytań filozofii i religii, skoro brakowało im żaru i fundamentalne pytania metafizyczne, dotyczące naszego początku –

stworzenia czy przypadku, istnienia Boga lub choćby jakiegoś wyższego planu, choć transponowane na fantastyczne modele, nie powodowały dreszczu, pozostając na poziomie umysłowych harców.

Związki z Borgesem – innym upośledzonym emocjonalnie mózgowcem czy Gombrowiczem jako autorem „Kosmosu” potwierdzały tylko przynależność Lema do kalekiej rodziny pisarzy z blokadą.

Zapowiedź wielkich dzieł

W młodzieńczym, rozpoczynającym się od dygatowsko-gombrowiczowskich rodzinnych obrazków, „Szpitalu Przemienienia”, słusznie zaliczanym do nurtu „obrachunków inteligenckich”, pytania, które będą uparcie powracać w późniejszej twórczości autora „Bajek robotów”, zyskały oprawę nawiązującą do „Czarodziejskiej Góry”: zamknięty zakład leczniczy, laboratoryjne niemal warunki do badania natury ludzkiej, chorzy i umierający otoczeni lekarzami, pełniącymi funkcje prawie że kapłańskie, zdumiony, ciekawy świata, niepewny siebie bohater... Bildungsroman w pełnej krasie – młodzieńcze wątpliwości podsycane przez Zygmunta Sekułowskiego, niepokojącego mistrza, poetę-wariata, stylizowanego trochę na demonicznego Witkacego – to było coś, co zapowiadało twórcę wielkich powieści, ofiarowującego czytelnikowi pełne spektrum wrażliwości...

Lem, przewrotnie, antagonistę głównego bohatera wyposażał w przemyślenia własne, które później przewijać się będą na kartach dojrzałych utworów. Tu, sprzedawane w cynicznej otoczce przez nihilistę-kusiciela, zdają się jedną ze efektownych światopoglądowych propozycji odrzucanych w drodze ku dojrzałości przez autorskie alter ego. Sekułowski, jakby na potwierdzenie autorskiego stanowiska, kończy marnie. Śmierć ma zupełnie beznadziejną: donosi hitlerowcom na ukrywających się pacjentów, poniża się, błagając oprawców o łaskę, cała jego pogarda dla życia ulatnia się gdzieś, a zostaje rozpaczliwa, nielicząca się z niczym chęć przetrwania za wszelką cenę. Odchodzi więc bez godności, ostatnim aktem dowodząc swego kabotyństwa...

Ale gdy wsłuchać się w jego słowa kierowane wcześniej do młodego bohatera, zafascynowanego tym dziwnym pacjentem, uderzyć musi ich zbieżność z przemyśleniami samego Lema, uderzyć musi fakt, że temat ów w różnych wariacjach powracać będzie w późniejszych dziełach autora „Cyberiady”:

„Oczywiście najłatwiej jest udawać, że niczego się nie widzi i że to, co jest, jest i koniec. Na co dzień i ja tak robię. Ale to tak mało. Nie pamiętam dokładnie cyfr (pamięć zawodzi mnie ostatnio), ale czytałem, jak nieprawdopodobne jest powstanie żywej komórki za zbiorowiska atomów... coś jak jedna szansa na trylion. Potem, żeby się te komórki w liczbie iluśtam bilionów odpowiednio zebrały, konstytuując ciało żywego człowieka! Każdy z nas jest losem, na który padła główna wygrana: parędziesiąt lat życia, wspaniałej zabawy”. (SP, s. 90 – 91)

I dalej:

„Czasem modłę się jednak. Dawniej mówiłem «Boże, którego nie ma». Jakiś czas nieźle mi to brzmiało. Ale ostatnio... do Ślepych Sił. (...) Modłę się do Ślepych Sił. Bo właściwie to one rządzą i ciałem naszym, i światem, i słowami, które wypowiadam w tej chwili. Ja wiem, że one modlitw nie słuchają – uśmiechnął się – ale... cóż to szkodzi?” (SP, s. 122)

Słychać w tym zapowiedź późniejszego Lema odzierającego czytelnika z metafizycznych złudzeń, z tym, że w „Szpitalu Przemienienia” niepokojące konstatacje dotyczące miejsca człowieka we Wszechświecie, choć podane przez niezbyt sympatycznego osobnika, powodują jeszcze jakieś egzystencjalne poruszenie. W późniejszej twórczości ustępuje ono niestety miejsca żarcikom, sterylnej pustce kosmosu czy też bezduszości teoretycznych modeli.

Człowiek ze swą złożonością, namiętnościami, życiowymi wyborami, zostaje wycofany ze sceny, a w jego miejsce pojawia się wypatroszony sztuczny konstrukt zaopatrzony w parę instrumentalizowanych cech.

Nie stało się tak od razu. W kolejnych częściach „Czasu nieutraconego” (wspaniały tytuł, no tak: komunistyczna prawda zawstydzić miała dekadentckiego Prousta!) Lem czegoś tam jeszcze próbował, choć dawał jednocześnie pokaz żalosnego podporządkowania się doktrynie – samokrytyka inteligenckiego wyobcowania, krzepiące obrazki ideowej komunistycznej konspiracji, pochwała szlachetnego UB, aprobatą nowego systemu, w którym dziwnym trafem autor nie dostrzega brutalnych najeźdźców ze Wschodu – papierowe to było niezwykle i jednak haniebne. Ciekawe, jak akceptacja sowieckiej ideologii psuła jednocześnie styl – kolejne daty umieszczane pod poszczególnymi częściami dzieła – wrzesień 1948, czerwiec 1949, wreszcie Kraków, 1950, odliczają kolejne etapy artystycznego upadku pisarza.

Ale przecież jeszcze „Obłok Magellana” (druk w „Przekroju” w latach 1953 – 1954, wydanie książkowe 1955) – powieść nierówna, odstręczająca dzisiaj ideologiczną tendencyjnością i naiwną gloryfikacją komunizmu, ma fragmenty poruszające, w których Lem wprowadza perspektywę egzystencjalistyczną, jeśli idzie o świadomość bohatera, akcentując jego poczucie osobności i obcości we Wszechświecie, próby przełamania samotności przez miłość.

Że w „Obłoku Magellana” Reinerem Marią Rilke leciał Lem, że terminował u niego, że wstydził się potem tego? Ale czy to w osobie bohatera-narratora, z którą wyraźnie utożsamia się autor, czy w drugoplanowej postaci Piotra, poddawał analizie fenomen miłości i próbował oddać pełnię człowieczeństwa – z naszymi ambicjami, niepokojem, rozpaczliwą próbą budowania głębszych relacji.

W XXXII wieku, gdy rozgrywa się akcja powieści, komunizm ostatecznie zwyciężył, tworząc nowego człowieka wolnego od agresji i pożądania rzeczy. Osiągnął to nie za sprawą chemicznej czy medycznej manipulacji, jak to pokazywał Lem w późniejszych groteskowych opowieściach, ale dzięki procesowi wychowawczemu. Dawne czasy bywają już tylko domeną wspomnień, przyjmowanych czasami z niedowierzaniem: „Zjawisko radości, płynącej z samego faktu «posięcia czegoś na własność», dla nas bezsensowne i wręcz humorystyczne, rodziło wtedy wiele niełatwych do rozwikłania problemów” (OM, s. 159).

Odkrycie błędzącego w kosmosie amerykańskiego sztucznego satelity z bronią jądrową na pokładzie, przywołuje dawne czasy agresywnego kapitalistycznego militarizmu, choć w bohaterze największą zgrozę – co znamienne – budzą nie broń czy zwłoki astronautów, lecz pin-up girls spoglądające na niego z plakatów porozwieszanych w ich kabinach: „Te nagie kobiety o białych, cienkich palcach, zakończonych skrwawionymi paznokciami w kształcie spiczastych kropel, zezujące ku nam zawzięcie z kątów zmrużonych powiek, znieruchomiałe w pozach lżących wszystko, co jest bezbronną tajemnicą i milczeniem nagości – czy to też byli ludzie?” (...) „Nie obawiałem się trupów; gorsze było sąsiedztwo owych jaskrawych obrazów, z których ponad oszronionymi gazem mumiami uśmiechały się przez próżnię nagie kobiety” (OM, s. 340, s. 345).

Mimo że krytyka najnowsza dość brutalnie obchodzi się z „Obłokiem Magellana”, co najwyżej podnosząc kwestię proroczej wizji wirtualnej rzeczywistości dzięki której na kosmicznym promie tworzy się złudzenia ziemskich przestrzeni czy też przewidywań dotyczących tworzenia książek („Posłużyły do tego dawno już odkryte, lecz stosowane tylko w technice triony – kryształki kwarcu, których strukturę cząsteczkową można trwale zmieniać działaniem drgań elektrycznych. Nie większy od ziarenka piasku kryształek mógł zawrzeć w sobie ilość informacji równoważną starożytnej encyklopedii” (OM, s. 156 – 157)), to dla mnie powieść ta będzie wyjątkowym dowodem, że Lem próbował kreować pełnowymiarowe postaci i w sposób młodzińczy może, trochę naiwny, utożsamiać się z nimi.

Regres

Późniejsze rzeczy, te pochodzące z czasów dojrzałej twórczości, która nieprzypadkowo wiąże się z okresem odwilży, oprócz dowodu niezwyklej płodności pisarskiej przyniosły regres, jeśli idzie o kreowanie wewnętrznego życia Lemowskiego bohatera. Redukcja osobowości, powoływanie do istnienia autystycznych przewodników po tworzonych przez pisarza ad hoc światach, brak przełożenia wielkich pytań na dramat egzystencjalny jednostki owocowały zabawnymi

przypowiastkami, pełnymi językowych gier i stylizacji. Ale nie ma w tym realnej egzystencji! **Jego bohaterowie nie żyją prawdziwym życiem, lecz przeżywają perypetie.**

Lem niczym irytujący wujek-przemądrzalec konstruował te swoje światy, udawał, że nad tym wszystkim panuje, że nic co ludzkie i kosmiczne nie jest mu obce, ale przecież uchylał pytania podstawowe, tak jakby udawało się przeżyć tu swój los bez krwi, potu, łez i spermy, jakby dało się zamieszkać w sterylnych światach i z uśmiechem wyższości obserwować szamotanie naiwnych ludzi podległych lękom, żądzom, namiętnościom.

Te ucieczki Lema przybierały różne formy. Adam Zagajewski w głośnym „Świecie nie przedstawionym” surowo oceniał „Kongres futurologiczny”: „Zachłystuje się dowcipem, błyskotliwym, stylizowanym głosem i chce w nim zawrzeć dramat, który może wypowiedzieć tylko głos nieafektowany, rzeczowy i bezpośredni”. I wcześniej: „Komizmem nie można zaszyfrować dramatu, dramat trzeba opowiedzieć dramatycznie. Język opowiadania, który ma podważać realność jego świata i kierować uwagę na świat właściwy, został obarczony taką funkcją, która paraliżuje jego funkcję zasadniczą. Naddatek komizmu niszczy domyślną dramatyczność. To zadanie języka, którym jest negliżowanie alegorii czy alegoryczności, sprzeczne jest z fundamentalnym zadaniem – tutaj domyślnym – opowiedzenia dramatu. Język tak spuchł od nadmiaru gry, kompozycji, od zestawień, archaizmów, aluzji, dowcipu, neologizmów, paraneologizmów, że stał się językiem sztucznym. Dzięki temu znakomicie pełni funkcję podrzędną, zdradza niepoważność intrygi, ale zupełnie nie pełni funkcji nadrzędnej, nie umie nieść dramatu”. (ŚNP, s. 66, s. 63)

Jawi się czasem Lem jak protoplasta i partner dzisiejszego nerda – socjopaty, młodzieńca, który wstydliwie skrywa swe życie uczuciowe i wybucha nerwowym śmieszkiem, gdy pytamy go, czy ma dziewczynę. U Lema, gniewnie odrzucającego freudyzm, z literatury zostają wycofane seks i namiętność, choć gdy pojawiają się, to niekiedy czynią jego rzeczy prawdziwie intrygującymi.

Ba! Czasami zdaje się, że jakimś niewytłumaczalnym sposobem literatura zyskuje władzę nad twórcą i tworzy się jakby wbrew niemu, pokonując blokady i zabezpieczenia, wniwecz obracając deklaracje.

Taki jest **przypadek bezsprzecznie najwybitniejszego dzieła Lema, powieści „Solaris”**, która nie tylko w oryginalny sposób porusza zagadnienie spotkania z inną formą życia w kosmosie, ale i analizuje stany naszej świadomości związane z relacjami miłości, nienawiści, z poczuciem winy. Analizuje... i odsyła nas w sferę tajemnicy. Tu Lem wydaje się pokonany przez kreację, jakby żywioł tworzenia, to, co nieświadome, nie dały się okiełznać i zapanowały nad jego powściągliwością i gestem racjonalności. Otrzymujemy przejmującą opowieść o odrzuconej, utraconej miłości, która okazuje się paradoksalnie silniejsza niż śmierć, ale też jawi się jako wynik dziwnej gry wyobraźni i pamięci: utkana z dawnych wspomnień, materializująca się w niezwykle sposób, niepokojąca, bo wciąż granicząca z nienawiścią czy też pragnieniem mordu... Lęk, wręcz obrzydzenie, pomieszane z tkliwą litością i pożądaniem – niesamowitą mieszankę uczuć, jakie budzi w bohaterze kobieta, ujawnił Lem w tej księdze, łamiącej niepisane zasady emocjonalnej oschłości i racjonalizmu, które przyświecały twórcy z Krakowa. Księdze tajemniczej i wżerającej się w świadomość, która kwestionowała nie tylko nasze wyobrażenia o kontakcie z Innymi, ale i stawiała pytania o istotę miłości, wzajemną obcość partnerów, poczucie winy, niepoznawalność własnego świata, nawet tego najbardziej intymnego...

Jeszcze w „Masce” Lem dał się ponieść nieświadomemu i stworzył opowieść o rodzącej się straszliwej samoświadomości robocymodliszki. Może nadmiarowi likieru *Chartreuse*, którym autor zwykł się raczyć w trakcie pisania, zawdzięczamy chwilowy brak kontroli i dzieło niepokojące, w którym znów dał zielone światło nieświadomemu?

Bo przecież były to wyjątki w morzu twórczości Lema, który świadomie rozbierał swe dzieła z otwartego tragizmu, który z podstawowych pytań ludzkości czynił igraszkę chłodnego umysłu.

Co więc począć z olśniewającą, choć nazbyt lekką schedą po nim?

Dociążenie Holocaustem

Pewnym sposobem, choć nie do końca uprawnionym, jest lektura twórczości Lema przez pryzmat Holocaustu. Tego rodzaju lekcję proponuje Agnieszka Gajewska, autorka intrygującej książki „Zagłada i gwiazdy. Przeszłość w prozie Stanisława Lema”.

Zagłada w ujęciu Lema czytanego przez okulary Gajewskiej okazuje się nie tylko doświadczeniem niewinnej zaszczonej ofiary, lecz także głębokiej winy własnej, nie teoretycznej wcale, ale przejawiającej się w odrzuceniu prośby o pomoc, wygnaniu ukrywającego się, skazaniu go na śmierć.

Posłuchajmy Gajewskiej: „W prozie Lema Mc Moor rozpoczyna całą plejadę robinsonów, postaci nie tyle heroicznych, ile sprytnych, uważnych, rozpaczliwie poszukujących rozwiązania w sytuacjach beznadziejnych. To oni przeżywają – czasami jako jedyni – konfrontację z Obcymi lub groźnym światem przestrzeni kosmicznej i opowiedzą o zaginionych, zmarłych, zamordowanych towarzyszach oraz wspólnych odkryciach. Wśród owych robinsonów znajduje się załoga Edenu, Bregg z «Powrotu z gwiazd», Rohan z «Niezwycięzonego», pilot Pirx oraz Tichy, by wymienić tylko najważniejszych”. (ZiG, s. 167)

A teraz, sekundujący jej Orliński z monografii „Lem. Życie nie z tej ziemi”: „wspólnym tematem wielu utworów Lema, fantastycznych i realistycznych, serio i buffo, jest skrywanie przez bohatera jakiejś tajemnicy, której ujawnienie groziłoby mu wykluczeniem ze społeczeństwa albo i śmiercią. [...] więcej niż jeden utwór Lema zasługuje na tytuł «Maska»”. (LŻ, s. 312)

Przyłożenie do prozy Lema kategorii wypracowanych przy lekturze świadectw Holocaustu może rzeczywiście przynieść wstrząsające rezultaty. Mechanizmy wyparcia, zatajanie faktów i drastycznych szczegółów śmierci w celu ocalenia godności ofiar, głębokie poczucie

winy czy też ekstrapolowanie własnych przeżyć na innych – odnaleźć to można w zachowaniach bohaterów z dalekiego – zdawałoby się – kosmosu.

No dobrze, faktycznie w „Głosie Pana” niespodziewanie wprowadzona zostaje opowieść profesora Rappaporta o ulicznej egzekucji z czasów drugiej wojny światowej, zaś w jednej z opowieści pilota Pirxa, tej zatytułowanej „Terminus”, mamy przedziwną relację z powolnego umierania załogi statku kosmicznego, która przez defekt robota przesunięta jest w czasie i uobecniona w trakcie kolejnej podróży rozklekotaną rakietą. Gdy nałożyć na tę makabryczną historię obrazy kaźni Żydów, gdy rozpaczliwe stukanie w rury umierających astronautów powiązać z komunikowaniem się skazanych na śmierć więźniów, a duszenie się załogi statku kosmicznego zestawić z wyobrażeniem komór gazowych, to wówczas otrzymamy jeszcze groźniejsze historie.

Oczywiście, chciałoby się w ten sposób dociążyć Lema, zmyć z jego twarzy uśmieszek wyższości, sprawić, by przyznał się, że wraz z nami nie panuje nad rzeczywistością, a jego postawa chłodnego mózgowca jest niewystarczająca. Chciałoby się spowodować, by zapłakał razem z nami. Agnieszka Gajewska proponuje jeden ze sposobów, ale przecież tragiczność w dzieła Lema wpisuje i eskaluje już ona sama i proponuje interpretację tak agresywną, że jego twórczość staje się zaledwie drobnym elementem jakiegoś supertekstu, w którym główną rolę gra biografia pisarza i jego realne lub wmówione traumy.

Perypetie, facecje, żarciki

Słabo brzmi usprawiedliwienie typu: **tworzył dzieła płytkie, ponieważ miał głębokie przeżycia.**

Co więc zostanie?... Podróże i perypetie jakichś dziwnych Iljonów Tichych czy pilotów Pirxów? Jako opowieści dla młodzieży, być może. Jako wyborna realizacja literatury popularnej, owszem. Ale przecież to pokaz ponadprzeciętnej smykałki, niczego więcej. Tak sędzę, choć o darze tym z niekłamaną zazdrością w swym dzienniku Jan Józef

Szczepański, notując pod datą 17 października 1953: „Dziś siedział u mnie Lem. Każdą sprawę potrafi natychmiast zilustrować przykładem, który sam w sobie jest paradoksalną, żywa anegdotą. (...) To jest jakaś zdolność par excellence literacka, której mi brak”. (JJS1, s. 376)

Lem jakby się wstydził obdarzyć swych bohaterów pełnym życiem. Poprzestaje na kreacjach osobników duchowo ułomnych, zredukowanych do Robinsonów Crusoe, Guliwerów czy bohaterów o wnętrzach godnych literatury młodzieżowej. A może Trurl i Klapaucjusz? Wydaje się, że i ich żywot będzie krótki. Przyjdą nowe popkulturowe pomysły i każą złożyć różne irytujące bajeczki robotów do lamusa.

Lem jako futurolog? Trochę to wątpliwe, bo strzela często na oślep. Owszem, także w „Powrocie z gwiazd”, pisze o czymś, co można by uznać za e-book: „Książki to były kryształki z utrwaloną treścią. Czytać je można było przy pomocy optonu”. Ale z kolei w „Kongresie futurologicznym” dzieli się wizją wiedzy wchłanianej przez lizaki, zaś w „Powrocie z gwiazd” w czasie snu. W „Solaris” mamy szpule w magnetofonie, perforowane taśmy telegrafu i opasłe, trudne do uniesienia tomy książek. Gdzieś pojawia się zapowiedź wirtualnej rzeczywistości, ale za to astronauta u Lema muszą nałogowo palić papierosy. „Kongres futurologiczny” to cały ciąg wariacji na temat przyszłości: chemicznego stymulowania mózgów, transplantologii, inżynierii genetycznej, rozplenienia dziwnych odmian erotyzmu, różnych oblicz społecznego buntu. Ale to wszystko zaledwie gonitwa intuicji, skojarzeń, roller-coaster zmiennych złudzeń i wrażeń.

Okay, analizuje Lem wpływ technologii na życie człowieka lub też kłopoty ze sztuczną inteligencją, wykazując przy tym zadziwiające współczucie dla robotów. Ale gdy dochodzimy do szczegółów i problemów, jakie dzisiaj przynosi internet, media społecznościowe czy wszechobecna inwigilacja, Lem nie okazuje się przewodnikiem, który miałby wiele ciekawych rzeczy do powiedzenia.

A jego analizy ustrojowe? Cóż, niezbyt zręcznie poruszał się Lem w rzeczywistości politycznej peerelu, błędząc czasem kompletnie. Nie chodzi też o to, że nie przewidział Lem końca komunizmu, jeszcze w

roku 1986 twierdząc, że nie dożyje upadku Związku Sowieckiego... Wytknął mu to ze śmiechem Stanisław Bereś w „Tako rzeczce Lem”, przypominając także zapewnienia autora z roku 1981, że stanu wojennego nie będzie. Na tym polu faktycznie Lem okazał się kiepskim prorokiem. A jak z jego opowieściami o politycznym urządzeniu alternatywnych światów? Może w zgrzebnych czasach komuny brzmiały one dla niektórych odważnie, aluzyjnie kwestionując dogmaty. Ale Lem przypatruje się kreślonym przez siebie żartobliwym karykaturom ustrojów jako ktoś z zewnątrz, nie analizuje zaś na serio zachowania człowieka w opresji i sytuacji podległości. Nie chce zdać relacji, jak krok po kroku ulega się naciskom systemu, jakiej gimnastyki sumienia i umysłu wymaga konformizm.

Nie spożytkował Lem więc swego doświadczenia współudziału w instalowaniu tu sowieckiego systemu. A przecież wierzył w komunizm, o czym świadczą jego książki i artykuły nie tylko z lat pięćdziesiątych, o czym przekonują notatki jego przyjaciela i intelektualnego partnera Jana Józefa Szczepańskiego. Przeczytajmy choćby zapis z 4 września 1952: „Od powrotu z urlopu nachodzi mnie Lem i nawraca. Może nie tyle na sam marksizm, ile na aprobatę marksizmu. Mówi bardzo błyskotliwie, ma zdecydowaną koncepcję przyszłości i koniecznych przeobrażeń kultury. Ma bardzo dużo racji. Jedno jest niepokojące: żaden z aktualnych minusów rzeczywistości nie stanowi dla niego argumentu przeciw teoretycznej zasadzie. Wszystko, co nie wychodzi i nie klapuje, jest winą partaczy i durniów, nie umiejących realizować tej zasady”. (JJS1, s. 323)

A „Śledztwo” i „Katar” – wymieniane czasem jednym tchem dwie powieści kryminalne dotyczące niepoznawalności świata i wymykania się zdarzeń spod prostych logicznych wzorów? Wyborne przecież jako pokaz sprawności literackiej Lema, mocno rozczarowujące, gdy idzie o uzasadnienie pisarskiego trudu. Owszem niezmordowany Jerzy Jarzębski w posłowie nawiąże wręcz do Oświećcimia, by przydać wagi kryminalnym humoreskom Lema, ale przecież tu nawet zbrodnia nie ma swego ciężaru, będąc elementem logicznych igraszek.

Pozostanie Lem autorem niespełnionym. O tyle ciekawym, że można sobie wyobrazić wzbogacenie jego dzieł i wymyślić książki, których powodowany jakąś atrofią uczuć nie zdołał napisać. Sam Lem stworzył

kapitałną bibliotekę dzieł możliwych, pisząc recenzje nieistniejących, acz wartych napisania książek. A przecież i jego samodzielne utwory można traktować jako zarys powieści, które zyskałyby, jeśli by je nasycić czynnikiem ludzkim. Gdy Mroźek w jednym z listów do niego upomina się o dodanie do rozważań o przyszłości perspektywy pojedynczej realnej osoby, gdy strofuje Lema mówiąc, że jego rzecz pozostanie pustą konstrukcją „bez takiego odniesienia w jedyną realność, jaką mamy, w ludzkie, w realność tak zwanej duszy, charakteru, świadomości, czy jak jeszcze można określić nas” – to wypowiada zasadniczą wątpliwość dotyczącą pisarstwa Lema i jednocześnie sugeruje, że wypełnienie tej luki sprawiłoby, iż otrzymalibyśmy być może arcydzieła.

Weźmy kapitałną recenzję imaginowanej książki Arthura Dobba „Non serviam” (ze zbioru „Doskonała próżnia”), w której personoidzi (roboty stworzone na podobieństwo człowieka) rozważają sprawy istnienia lub nieistnienia Stwórcy oraz ich powinności względem Niego. Z dyskusji wynika, że ateista nie ponosi żadnej odpowiedzialności za swą niewiarę czy brak praktyk religijnych, bo jeśli Bogu zależałoby na tym, by jego stworzenie wierzyło weń i składało mu hołdy, odpowiednio by je zaprogramował... Arthur Dobb, twórca owych personoidów w posłowniu do zapisu ich dyskusji dowodzi, że faktycznie dla tych robotów to on jest Bogiem i to, czy one wierzą w niego czy też nie, czy mają mu składać ofiary czy nie, wszystko zależy od informacji, których on im udzieli lub w nie wdrukuję. Olśniewający cybernetyczny model naszego bytowania i pytań – o Boga, o względem Boga powinność, o winę i niewinność. Gdyby ubrać to w szaty namiętnej dysputy teologów i okraścić mnisiem dressingiem a’la Andrzejewski z „Ciemności kryją ziemię” mielibyśmy przejmujący dialog. Gdyby owo pytanie o odpowiedzialność Boga za nasze rozeznanie moralne wygłaszał morderca w celi śmierci albo kobieta rozpaczająca po aborcji, dostalibyśmy opowieść przejmującą. Z tym, że ujawniłaby ona przecież sprawy wolnej woli, ludzkiej godności, podmiotowości i trochę komplikowała model Lema.

Gdyby kapitałny koncept „Ze wspomnień Ijona Tichego” z obdarzonymi zmanipulowaną świadomością skrzyniami profesora Corcorana, nasycić tragizmem, mielibyśmy rzecz wielką. A tak, mamy filozoficzne przypowieści. I psotną twarz Lema, który prowadzi nas przez bramki

żartów i facecji w anturażu science-fiction. Tak jakby brak powagi moralnej, egzystencjalnej, emocjonalna redukcja była konieczną ceną komunikowania się z innymi ludźmi.

Podobnie rzecz się ma ze skrzącą dowcipem „Podróżą dwudziestą pierwszą” z „Dzienników gwiazdowych Ijona Tichego”. Niezwykle pomysłowe ukazanie przyszłych dziejów teologii może być rozkosznie drażniącą historyjką pochłanianą z płonącymi uszy przez kleryków duchownego seminarium. Liczba paradoksów i aluzji do wielkich debat światopoglądowych zaspokoić mogłaby każdego amatora erudycyjnych przekomarzanek. Takie tam guilty pleasure dla zainteresowanych. Problem w tym, że wszystko to zbyt lekkie i oderwane od człowieczego znoju. Więcej powagi było w sporze Smierdiakowa w salonie Fiodora Pawłowicza Karamazowa o zaparcie się Chrystusa niż w błyskotliwych kaskadach Lema.

Owszem, to wszystko też można dosyć i przyprawiać: Małgorzata Szpakowska czyta Lema z Kołakowskim w ręku, nasącza kontekstami filozoficznymi, zestawia z Schopenhauerem, pokazuje zbieżności z „Samolubnym genem” Dawkinsa, ale to wszystko z jego dzieła nie czyni wielkiej literatury.

Bo do tego trzeba odwagi konfrontacji z samym sobą.

Bez ryzyka tworzy się rzeczy błahe.

Inna nazwa takiej postawy twórczej to – rozpacz.

Andrzej Horubała

Teksty Andrzeja Horubały publikowane w serii „Wielcy pisarze PRL-u”, są elementem projektu realizowanego dzięki stypendium Fundacji Trzy Trąby oraz Jolanty i Mirosława Gruszków, pomysłodawców stypendium i darczyńców Fundacji Świętego Mikołaja.

Oznaczenia cytatów i przywołań:

TRL – *Tako rzecze Lem. Ze Stanisławem Lemem rozmawia Stanisław Bereś*, Wydawnictwo Literackie 2019

LML – *Stanisław Lem, Sławomir Mrożek, Listy 1956 – 1978*,
Wydawnictwo Literackie 2011

SP – Stanisław Lem, *Szpital Przemienienia*, Wydawnictwo Literackie
2021

OM – Stanisław Lem, *Obłok Magellana*, Iskry 1955

ŚNP – Julian Kornhauser, Adam Zagajewski, *Świat nie przedstawiony*,
Wydawnictwo Literackie 1974

ZiG – Agnieszka Gajewska, *Zagłada i gwiazdy. Przeszłość w prozie
Stanisława Lema*, Wydawnictwo Naukowe UAM 2016

LŻ – Wojciech Orliński, *Lem. Życie nie z tej Ziemi*, Czarne, Agora 2017

JJS1 – Jan Józef Szczepański, *Dziennik tom 1, 1945 – 1956*,
Wydawnictwo Literackie 2009